

ANNA
KAŃTOCH
CZARNE

ANNA
KANŃTOCH
CZARNE

KONTRAPUNKTY



powergraph

Warszawa 2012

Copyright © 2012 by Anna Kańtoch
Copyright © 2012 by Powergraph
Copyright © 2012 for the cover by Rafał Kosik
Wszelkie prawa zastrzeżone.
All rights reserved.

Redaktor prowadząca serii: Kasia Sienkiewicz-Kosik
Redakcja: Kasia Sienkiewicz-Kosik
Korekta: Joanna Mika-Orządała
Skład i łamanie: Powergraph
Ilustracja na I okładce: istockphoto
Projekt graficzny serii i opracowanie: Rafał Kosik

Wyłączny dystrybutor:
Firma Księgarska Olesiejuk Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. 22 721 30 00, fax 22 721 30 01
www.olesiejuk.pl, e-mail: fk@olesiejuk.pl



Wydawca:
Powergraph Sp. z o.o.
ul. Ceglowska 16/2, 01-803 Warszawa
tel./fax: 22 834 18 25, 22 834 18 26
powergraph.pl, sklep.powergraph.pl, e-mail: powergraph@powergraph.pl

ISBN 978-83-61187-53-0

Printed in Poland, EU

I

1. Czarne, istoty przywożone z morza

teraz

Zawsze wiedziałam, że pewnego dnia wrócę do Czar-
nego. Widzę tę chwilę, jakby to już się stało – oto stoję na
wiejskiej drodze obok pomrukującego cicho samochodu,
patrzę na skiby wilgotnej ziemi i biały domek pod
ciemną linią drzew. Za drzewami tarcza słońca; światło
ma przydymioną czerwoną barwę, powietrze stało się
ostrzejsze i pachnie leżącym pod leśnymi kamieniami
mrokiem, w bruzdach na polu zbierają się cienie. Wiatr
szarpie długą prostą suknią, dłońmi przytrzymuję wielki
kapelusz, którego rondo zdobią fantazyjna kokarda

i kwiaty. Marznę, napawając się tą chwilą, tym wiatrem i zimnem, nim wejdem do przytulnego wnętrza Czarnego.

Jestem. Wróciłam.

Doktor Krępiński zaśmiał się, gdy mu o tym opowiedziałam, śmiał się tak bardzo, że trzęsła mu się broda, a on sam odchylił się na krześle do tyłu, pod słomianym parasolem. Jego pomarszczone czoło i obwisłe policzki całe były w słonecznych cętkach, w rękę podrygiwała szklanka z lemoniadą. Z rozpalonego nieba lał się żar, parasol nie dawał niemal żadnej ochrony – a mimo to biała koszula Krępińskiego wciąż była świeża, spodnie zaprasowane w kant dokładnie jak w chwili, gdy o ósmej rano zszedł na śniadanie.

Chwyciłam swoją szklankę i zaraz ją puściłam, bo lemoniada była już ciepła. Wilgotne palce zostawiły na szkle przykre, tłuste ślady.

– Ależ dlaczego miałabyś nosić taki straszny kapelusz? – zapytał Krępiński, a ja posłałam mu niepewny uśmiech, bo istotnie podobne nakrycia głowy wyszły z mody dawno temu, ostatni raz widziałam je... kiedy? Chyba gdy byłam nastolatką, tuż przed wybuchem wojny. Dziś, tego upalnego lata roku 1935, nosi się zupełnie inne kapelusze.

Odstawił swoją szklankę – na niej żadnych śladów nie było.

Jak oni to robią?

– Chciałabyś wrócić do Czarnego?

— Tak — odparłam. A potem dodałam — może. Nie. Nie wiem.

Zaśmiał się znowu, jakby moje wahanie było najlepszym na świecie żartem. Czytałam kiedyś, że lekarze powinni dodawać pacjentom otuchy, lecz wszyscy medycy, których w życiu spotkałam, sprawiali tylko, że czułam się jak niemądre dziecko.

Musiał wyczuć moją dezaprobatę, bo umilkł i spojrzał na mnie przepraszająco, a jednocześnie łobuzersko, jakby z góry wiedział, że dam się ułagodzić.

— Wybacz, moja droga, czasem tracę nad sobą panowanie. Kto mieszka w Czarnem? Może rzeczywiście niezłym pomysłem byłoby tam pojechać?

— Mój brat — odparłam. — Młodszy — dodałam niepotrzebnie, bo przecież Krępiński starszego znał. To właśnie Franciszek przywiózł mnie pewnego dnia do sanatorium, zostawił pod fachową opieką, a teraz odwiedzał od czasu do czasu. — Jest... inny.

— Inny jak ty?

Dwuznaczność pytania zawisła pomiędzy nami. A może nie było żadnej dwuznaczności, może tylko ją sobie wyobraziłam.

— Przejdziemy się? — zaproponował Krępiński.

Skinęłam głowę.

Szliśmy stałą trasą naszych spacerów, wzdłuż brzegu aż do latarni na cyplu. Wiatr niósł od morza orzeźwiający słony chłód, spieniona woda wypełniała pozostawione na piasku ślady stóp. Krępiński poruszał się szybko

i pewnie, elegancki nawet w mokrych butach. Roześmiała się, gdy mocniejsza fala sięgnęła nogawek; wilgoć zresztą błyskawicznie wyschła, jakby nawet ona musiała ustąpić przed wrodzoną nieskazitelnością tego człowieka. Staralam się dotrzymać mu kroku, z pantofelkami w rękę, bezustannie bojąc się, że nastąpię na ukryty w martwych wodorostach kawałek szkła czy ostrą muszlę. Czułam się niezgrabna, pot spływał mi spod włosów na kark. Od czasu do czasu mijaliśmy wyciągnięte na plażę drewniane krypy. Biła od nich woń stęchłej słonej wody i rozkładających się w słońcu ryb. Przy jednej łodzi kręcili się zapóźnieni rybacy, a na dnie, zaplątane w sieci, połyskiwały sprężyste srebrne ciała. Przypomniałam sobie opowieść Irenki, która twierdziła, że im dalej w morze poławiacze wypływają, tym dziwniejsze istoty przywożą. Bliżej brzegu są zwyczajne śledzie, dorsze i flądry, a dalej przedziwne, fantasmagoryczne stwory, ani w pełni żywe, ani martwe, o rozumnych spojrzeniach i niespotykanych kształtach.

Śmiałam się wtedy, teraz jednak odwróciłam wzrok.

2. Sanatorium, tańce, krew

teraz

Sanatorium dla nerwowo chorych doktora Kempera ma dobrą renomę, ponoć chwalą je nawet w zagranicznych magazynach. Personel dokłada tu wszelkich starań, byśmy o naturze zakładu zapomnieli: żyjemy jak w modnym uzdrowisku, mamy kort tenisowy i wieczorki brydżowe, gramofon i radio. Nasze posiłki, tak różne od szpitalnej, pozbawionej smaku papki, są obfite i podawane na delikatnej porcelanie, lekarze spacerują z nami, rozmawiając na temat kina i polityki. Incydenty, takie jak zamroczenia umysłu, napady wściekłości czy przemoczone łóżka, są dyskretnie tuszowane przez uro-

cze pielęgniarce i unieważniane już pięć po minut po zajściu. Oczywiście nie ma tu żadnych „poważnych przypadków”, wszyscy jesteśmy zaledwie „trochę zmęczeni”, „nieco zagubieni”, potrzebujemy tylko wypoczynku, by dojść do siebie. Tak przy wspólnych posiłkach zapewniają nas lekarze, choć u siebie, w gabinetach, trzymają grube pliki notatek, które opisują nasze anomalie za pomocą groźnie brzmiących łacińskich i niemieckich słów. Skuszone na pogawędkę pielęgniarce przekazują jeszcze inne wersje – w ich oczach jesteśmy zbiorowiskiem przypadłości romantycznych i niekonkretnych zarazem, ta cierpi z powodu zawiedzionej miłości, inna doprowadziła się do żałobnego obłędu, dochowując wierności zaginionemu na wojnie mężowi, jeszcze inna popadła w melancholię po śmierci ukochanego dziecka. Smakujemy te plotki, ubarwiamy je i puszczamy dalej w obieg, aż wracają do nas niepodobne zupełnie do swej pierwotnej postaci, aż nikt już nie wie, co jest prawdą. O mężczyznach niewiele mamy do powiedzenia – mieszkają w drugim skrzydle, pociągający swą odrębnością i tajemnicą. Spotykamy się jedynie przy brydżu i podczas wieczorków tanecznych, kiedy doktor Krępiński nastawia na gramofonie płyty z amerykańskim jazzem. Tańczymy i flirtujemy, jakbyśmy byli zwyczajni, a przecież nie jesteśmy, nawet pośród najweselszej zabawy wyczuwa się w naszym zachowaniu fałszywą nutę. Czasem ktoś zamilknie niespodziewanie przy stoliku i będzie tak trwał, z otwartymi ustami i wzrokiem wbitym w prze-

strzeń, aż litościwy sąsiad lub czujna pielęgniarzka obudzi go z drzemki na jawie; czasem ktoś wybuchnie śmiechem zbyt głośnym albo zbyt piskliwym. Kobiety gubią w tańcu szale, depczą je potem obcasami francuskich pantofli, mężczyźni siadają na własnych kapeluszach i patrzą na tarcze od dawna nienakręcanych zegarków. Jedzone przez nas ciastka nie zawsze trafiają do ust, zdarza się, iż skruszone w niespokojnych palcach całe lądują na dekoltach sukien czy gorsach jedwabnych koszul. Nasze rozmowy się rwą, tańczymy nie do rytmu, flirtujemy bez wdzięku. A przecież bawimy się z większym może nawet zapamiętaniem, niż czynią to ludzie zdrowi.

Piszę: my, nas, choć czuję się tak bardzo inna od moich towarzyszy niedoli. Przyzwyczaiałam się już; zarazem jestem i nie jestem częścią tego wszystkiego.

Tego wieczoru nie jestem. Dziękuję chłodno, gdy doktor Krępiński prosi mnie do tańca, *freak show* na parkiecie nie pociąga mnie zupełnie, spocone czerwone twarze napełniają niechęcią. Mam swoją dumę. Wszystko w moim życiu może być fałszywe, ale duma jest prawdziwa – postanawiam więc, że dzisiejszego wieczoru tańczyć nie będę. Chcę, żeby doktor Krępiński boleśnie odczuł moją odmowę, on jednak śmieje się po swojemu i potrząsa głową, jakby, rozbawiony, ustępował kapryśnemu dziecku. Odwracam się w stronę uchylonego okna, nareszcie jest wieczór, nareszcie odrobina chłodu. Moja duma mnie samej wydaje się teraz dziecinna i śmieszna, ale zacinam się w niej – nic innego nie mam.

— Zatańczysz? — pyta Irenka, podchodząc do mnie, bransolety podzwaniają w rytm jej kroków. Irenka nosi je, by przesłoniły blizny na nadgarstkach, ale miedziane kółka niczego nie potrafią ukryć, blizn jest zbyt dużo.

— Zatańczysz? — pyta jeszcze raz. — Taka jestem dziś szczęśliwa!

Oddycha szybko, czarne oczy błyszczą od gorączki. Nauczyłam się już rozpoznawać te jej gwałtowne przyływy radości, po której następuje nagła rozpacz. Najdalej za kilka dni Irenka znów będzie się ciąć. Mówi, że z powodu zdrady przystojnego ułana, ale ja wiem, że to wcale nie tak, Irenka rozcina własne ciało, bo musi, zdrada nie ma z tym nic wspólnego. W opowieść o ułanie nie wierzy już nikt, może poza matką Irenki, która co pół roku wiezie córkę do innego sanatorium w nadziei na cudowne wyleczenie.

Chciałabym zatańczyć z Irenką. U nas nie obowiązują sztywne konwenanse, kobiety czasem tańczą z kobietami. Ale nie mogę – odmówiłam Krępińskiemu, powinienam odmówić i Irence.

Dziewczyna nie słucha niezręcznych wymówek, tylko ciągnie mnie na parkiet. Jej zwinne ciało już jest rozgrzane szybkim ruchem, mokry od potu tył sukni lepi się do pleców. Pozwalam się objąć i rozkołysać w rytm charlestona. Nie tak się go tańczy, ale to nie ma znaczenia, nikt tu nie umie tańczyć do tej dzikiej muzyki zza oceanu, tak różnej od melodii, do których przywykliśmy w dzieciństwie. Patrzę na Irenkę. Tylko jej jestem tu

pewna, tylko ona jest taka jak ja. Wiem, bo byłam przy niej, kiedy ostatnim razem otworzyła sobie żyły. Cięła głęboko, aż w czerwieni rozplatanego mięsa błysnęła biel kości. Dlatego mam pewność.

Irenka lubi mnie, ponieważ uważa, iż jesteśmy bratnimi duszami – ja również noszę na ciele blizny po nożu. Ja wiem, że nasze braterstwo niczego wspólnego z nożem nie ma.

Muzyka milknie, gdy igła przeskakuje do następnego rowka. Wracając na swoje miejsce przy oknie, wzrokiem odruchowo szukam doktora Krępińskiego. Chcę wiedzieć, czy dobrze się bawi – albo raczej mam nadzieję, że bawi się źle. Krępiński rozmawia z jasnowłosą kobietą, w której rozpoznaję niedawno do nas przybyłą, jeszcze niezbyt dobrze poznaną i „nieswojoną” pensjonariuszkę. Rozmawiają, nic więcej, a jednak wyczuwam pomiędzy nimi napięcie, z którego chyba tylko ja zdaję sobie sprawę. Wrażenie tym bardziej irytujące, że nieokreślone, nie rejestruję go żadnym z pięciu zmysłów, po prostu wiem. Rozmawiają, a niewidzialne nici wzajemnego przyciągania splatają się wokół nich w sieć coraz gęstsza i tak rozłożysta, że wreszcie sięga i mnie, stojącej po drugiej stronie sali. Zaczynam się dusić, tylko wieczorny chłód pozwala mi odzyskać oddech.

W nocy długo nie mogłam zasnąć, a gdy rankiem zeszałam do jadalnej sali, okazało się, że byłam pierwsza – wszyscy jeszcze spali, tylko w kuchni, rozpalając w piecu, krzątała się stara Antosiowa.

Wyszłam na zewnątrz, w rześki chłód wstającego dnia. Rozcierając pokryte gęsią skórką ramiona, wdychałam zapach kwiatów na klombach i spacerowałam dla zabicia czasu. Znudzona i niespokojna, zapuściłam się w rejony, w których zazwyczaj nie bywam, krążyłam wokół pomieszczeń gospodarczych, przemknęłam nawet ze wstrzymanym oddechem obok śmietnika.

Tam ją dostrzegam kątem oka.

Pod pokrywą jednego z kubłów, spowity w słodki odór zgnilizny, tkwił liliowy kłęb materiału w kolorze identycznym jak suknia jasnowłosej towarzyszki doktora Krępińskiego. Ciekawość była zbyt silna, by się jej oprzeć – sięgnęłam po niego i szarpnęłam, jedwab rozwinął się gładko. Wewnątrz, na asymetrycznej spódnicy, na bołerku, wszędzie była krew, gęsta i nie całkiem jeszcze zakrzepła. Widziałam nawet strzępy tkanki, jakby Krępiński wraz z suknią zdarł z jasnowłosej kobiety skórę. Niemożliwość zamroczyła mi umysł i wcisnęła palce do gardła, było mi duszno, miałam wrażenie, że zaraz zwymiotuję. Z daleka, z innego świata docierał do mnie zapach porannej kawy.

Wepchnęłam suknię na jej dawne miejsce i uciekłam. W sali jadalnej dobrze znani mi ludzie pozdrawiali się sennie i siadali do śniadania, słychać było szuranie odsuwanych krzeseł, ziewnięcia, szczęk stawianych na stole dzbanków i talerzy. Przestałam wierzyć w to, co widziałam.

A jednak chwilę później powodowana przekorą, której sama nie rozumiałam, zagadnęłam doktora Krępińskiego o niemożliwość. Oczywiście nie powiedziałam, jak dużo było krwi, ani nie wspomniałam o strzępach skóry – na to nie było miejsca w ciepłej, pachnącej kawą jadalni. Nadmieniłam tylko, że ta nowa, jasnowłosa pani musiała się wczoraj skaleczyć, bo wyrzuciła zakrwawioną suknię.

— To głupstwo — odparł doktor Krępiński. — Wystający gwóźdź, nic poważnego, drobna rana na rękę.

Popęłnił błąd, bo kiedy jasnowłosa kobieta zeszła na śniadanie, wyraźnie zobaczyłam, że jej białe, odsłonięte ramiona nieskalane były najmniejszym draśnięciem.

